

Wybiegła z ciemnej bramy budynku. Została jej minuta do odjazdu autobusu. Spowijający ulicę mrok ukrył gołoledź. Martyna w ostatniej chwili złapała równowagę, klnąc siarczyście pod nosem. Idący niedaleko niej nieznajomy miał mniej szczęścia i po chwili leżał jak długi na ulicy. Szeroki uśmiech zadowolenia i satysfakcji wpłynął na jej twarz. Tak jakby to miało zrekompensować zły nastrój, to, że zegarek zadzwonił za późno, że jest jeszcze ciemno na dworze, że znowu jest przymrozek. . . jednym słowem, nie lubiła poniedziałków, zwłaszcza w taką pogodę. Do pracy spóźniła się dobre piętnaście minut. Szybko więc powiesiła płaszcz w szafie i usiadła do swojego komputera, żegnając się w myślach z poranną kawą, z ciężkim westchnieniem wyobrażając sobie jej aromat i gorzki smak.

– Uważaj, Matuszkiewicz szaleje – uprzedziła Dorota, z którą dzieliła pokój. – Lepiej nie wchodzić mu pod nogi.

– On wiecznie się wścieka. Znowu coś go ugryzło?

– Dzisiaj ma wyjątkowo paskudny dzień.

– A kiedy on nie ma paskudnego dnia? Na dodatek psuje nam humor od samego rana.

– Taki przywilej szefów.

– Oo, Martyna wreszcie dotarła do pracy, jak miło – usłyszała głos informatyka, który wszedł do ich pokoju i demonstracyjnie spojrzał na zegarek. – Witamy, witamy, małe spóźnienie, ale co tam. Kobiety myślą, że im wszystko wolno.

– Może tak mniej sarkazmu z samego rana? Przecież ja się jeszcze do końca nie obudziłam.

– On nie potrafi być miły – zauważyła Dorota. – Nie wiesz, że informatycy nie mają serca, tylko procesor?

– No popatrz, a ja się zastanawiałam, dlaczego podniecają ich dyskiety i dyski – rzekła z udawanym zdziwieniem.

– To ty nie wiesz, że przed informatykiem możesz rozebrać się do naga i on w ogóle tego nie zauważy? Żaden striptiz go nie ruszy. Nic, kochana, ani, ani.

– Aha, oni to ci. . . co. . . kochają inaczej.

– Nie wiem, jak dokładnie nazywa się to zboczenie, kompofilia, dyskofilia, coś koło tego.

– Z wami, babami... Pan Jurek ma rację, macie w sobie więcej jadu niż żmije, niż całe gniazdo żmij – rzekł z pogardą Jarek. – To masz dzisiaj wprowadzić – rzucił na biurko Martyny stos poskładanych mapek i wyszedł bez słowa.

– Baby, baby... baby to ty masz w nosie. Żmije, widziałas go – warknęła Dorota pod adresem kolegi, gdy wyszedł z pokoju. – Męski szowinista. Nie cierpię takich ludzi.

– Ogromnie mu życzę, żeby znalazła się kobieta, która wywróci jego życie do góry nogami, bez której nie będzie mógł żyć. Ciekawe, czy będzie mówił do niej „babo” – zastanawiała się Martyna, rozkładając mapy.

– Przy nas tak, pan Jerzy tak robi. Chodzi po biurze i czepia się Uli i Joasi jak rzep psiego ogona, dogryzając, nazywając je starszymi paniami, mimo że są spokojnie o piętnaście lat młodsze od niego. W domu, słyszałam, że jest taki malutki – rzekła, pokazując palcami centymetrową odległość. – „Tak, kochanie”, „Nie, kochanie”, „Oczywiście, kochanie”. Tylko w pracy, przy nas, mówi o żonie „hausgestapo”.

– Faceci to duże dzieci – podsumowała Martyna, śmiejąc się. – A my musimy się z nimi męczyć, niańczyć jak kolejne dziecko w rodzinie i znosić humory kolegów z pracy.

– No wiesz, czasami się przydają – zauważyła Dorota z diabelskim uśmiechem.

– Noo, czasami tak – przyznała Martyna. – Ale dobrze powiedziałaś, czasami. Powinni być faceci do wynajęcia. Potrzebujesz takiego, to go sobie wynajmujesz, znudzisz się nim, to oddajesz. W *Seksmisji* prawie udało się stworzyć świat bez facetów, może jest szansa na ich wyeliminowanie?

– Ty to masz pomysły – wybuchła śmiechem.

Dzień włókł się niemilosiernie. Monotonna praca, nanoszenie w kółko tych samych elementów usypiało Martynę. Prawie leżała z nosem w klawiaturze. Za oknem znowu padał deszcz, równomiernie bijąc o blaszany parapet, szumem, niczym kołysanką, usypiając. Zza zamazanych wodą szyb zionął smutek, chłód i szarość. Ani jednej isierki ciepła.

– Dorota, tobie też chce się tak spać? – jęknęła sennie.

– Przed chwilą o mało nie wybiłam sobie oka długopisem. Jak to niewiele trzeba, żeby okaleczyć się na całe życie.

– Idziemy na jakąś kawę?

– Najchętniej bym się położyła. Mogliby kupić nam jakiś mały wypoczynek; jak komuś zachciałoby się spać, to kładłby się i spał. Tylko obawiam się, że niektórzy cały czas okupowaliby to łóżko, i chyba nie muszę mówić kto.

– Musieliby kupić każdemu po jednym.

– Spytałam Joasię i Ulę, czy idą z nami na kawę – Dorota wzięła słuchawkę i wystukała numer wewnętrzny. – Idziecie na kawę? To czekamy w pokoju śniadaniowym.

– Lecimy, może wreszcie coś postawi mnie dzisiaj na nogi – pociągnęła za sobą Martynę i zabrawszy swój kubek, zamknęła pokój.

– Od samego rana brakuje mi kawy – westchnęła Martyna.

– Ja zdążyłam większą część wypić, ale jak zobaczyłam wściekłego Matuszkiewicza, szybko czmychnęłam do siebie. Nawet kawy mi się odechciało. Jeszcze zakrztusiłabym się i osierociła dzieci, i co by wtedy było?

W pokoju śniadaniowym Joasia zwijała się ze śmiechu, wycierając łzy, a Ula stawiała wodę w czajniku.

– Oo, widzę, że humory dopisują – zauważyła Dorota. – To tylko my dzisiaj przysypiamy.

– A tam, od razu tylko wy – oburzyła się Ula. – My z Joaśką urozmaicamy sobie ten okropnie straszny dzień pracy. Przecież to zwariować można albo umrzeć przedwcześnie, a my musimy żyć. Jesteśmy za młode na umieranie.

– To z czego się tak śmiejecie?

– Kochana, coś wam opowiem – zaczęła Joasia. – Wracając w piątek z pracy, weszliśmy sobie do tego małego sklepiku z ciuchami na rogu, gdzie taka gruba, zwariowana blondyna sprzedaje. Tak dla jaj, żeby urozmaicić sobie dzień. Wiecie gdzie?

– Wiemy.

– I tak sobie patrzymy, a tam sobie leżą stringi z koronki i aż się proszą o coś głupiego. Joaśka wzięła do ręki, spojrzała na cenę i stwierdziła, że drogie, na głos, żeby wszyscy słyszeli, pokręciła z dezaprobatą głową...

– To są majtki, których nie ma – wykrztusiła z siebie Joanna.

– Więc mówię do Joaśki... – zanosła się śmiechem Ula – zostaw, kochanie, wezmę kawałek franki i gumki, uszyję ci, w dodatku w takim kolorze, jak lubisz. Chabrowym.

– Ale kobieta zrobiła minę. Do tej pory, jak sobie przypomnę, to śmiać mi się chce. Jak nic, wzięła nas za idiotki.

– Joaśka, a bo to pierwszy raz, a bo to ostatni. Po prostu nie ma ekspedientki, która by nam dogodziła.

– Wreszcie któraś wyciągnie dubeltówkę spod lady i położy nas trupem. Niejednej wychodziła już piana z ust.

– Potem poszliśmy do apteki.

– O rany, tam też mężczyście babki za ladą?

– No co wy – oburzyła się Joaśka. – Od razu mężczyliśmy. Chciałyśmy pooglądać parę preparatów na odchudzanie. Przecież wolno, klient nasz pan.

– Parę tubek z kremem na cellulitis.

– I rozstępy.

– Mieli nawet krem na pojedrzenie piersi. Mnie to by się przydał na urośnięcie piersi, bo żeby je ujędrnić, trzeba je mieć. Powiedziałam tak na głos w aptece. Wy wiecie, jak Joaśka zaczęła się, głupia, śmiać?

– Ty jak coś wymyślisz... – pokręciła głową Joaśka.

– A jak inni się na nas popatrzyli?

– A bo jak coś powiesz... .

– Jak byś była taka płaska przez całe życie jak ja, też myślałabyś wyłącznie o własnym biuście. Ale ja wiem, co zrobię, już od dawna o tym myślę. Powiększę sobie biust.

– Zwariowałam.

– A co? Nie wolno? Sprawię sobie do trumny, żeby na pogrzebie ładnie wyglądać. Zrobię taki rozmiar, że wieko się nie zamknie.

– Rodzina będzie skakać, żeby wbić gwoździe.

– Rany, gdzie ja pracuję – Martyna nie wierzyła własnym uszom.

– Wiecie, jak wkurzyć ekspedientkę? – spytała Ula.

– Jakoś nigdy tego nie próbowałam – przyznała Dorota.

– Poprosić o parę rzeczy, które leżą najwyżej jak się da, tak żeby musiała wdrapywać się na drabinę albo co najmniej po regałach, a potem nic nie kupić.

– Albo poprosić o coś w kolorze chabrowym, uwierzcie mi, trudno

znaleźć coś w tym kolorze, zawsze można powiedzieć, że to wcale nie jest chabrowy, tylko granatowy albo fioletowy – dodała Joasia.

– Ciekawe, kiedy usłyszymy o jakimś morderstwie – zamyśliła się Martyna.

– Jak nic, któraś ekspedientka nie wytrzyma i je udusi, obie, własnymi rękami, a potem odda się dobrowolnie w ręce policji – prorokowała Dorota.

– A ja się często zastanawiałam, czemu niektóre ekspedientki mają takie kwaśne miny, jakby za karę stały za ladą, teraz wiem dlaczego i normalnie współczuję im.

O piętnastej trzydzieści zaczęła się prawdziwa ulewa, zawsze tak było, gdy Martyna kończyła pracę. Latem były to ulewy, zimą zawieje śnieżne. Dziwne, że do tej pory nie wystąpiło tornado. Martyny na pewno by to nie zdziwiło. Na dodatek kierowca autobusu zamknął jej drzwi prawie przed samym nosem. Wściekła dołączyła do Joasi i Uli stojących na przystanku pod jednym parasolem.

– Za autobusami i facetami się nie biega zawsze będzie następny – pocieszała Joasia.

– Ale ja chciałam ten, mam mokro w butach, jestem głodna.

– Jaka ta młodzież, pani kochana, nerwowa – rzekła Ula wznosząc oczy ku niebu, szybko jednak schowała się pod parasol. – A to wystarczy chwilę poczekać. Z facetami jest tak samo.

– Myk, i jest już następny, a nuż godzien naszej uwagi – zamyśliła się Joasia. – Kto wie, kto wie...

– Aby był godzien naszej uwagi, wystarczy, by nieźle zarabiał, jakieś ładne autko, nieduży domek...

– Apartament na Kanarach, kopalnia złota...

– Mały szyb naftowy, apartament w Alpach... – wymieniały koleżanki niestrudzenie.

– To jest idealny facet – westchnęła Joanna. – Do tego mógłby być wysoki i przystojny jak Gregory Peck.

– I nic więcej do szczęścia nie jest nam z Joąską potrzebne. Czy my tak dużo chcemy?

– Na szczęście mam już autobus – odetchnęła z ulgą Martyna. – Jeszcze trochę nasłucham się takich rzeczy i zostanę starą panną.

– A czy staropanieństwo jest takie złe?

Martyna nie usłyszała odpowiedzi drugiej z koleżanek. Zamknęły się za nią drzwi. Usiadła tuż przy oknie, zza zamazanych okien niewiele było widać. Zasnęła. Obudziła się na chwilę przed swoim przystankiem. Pod drzwiami mieszkania długo szukała kluczy, gdy była już przekonana, że leżą w szafce w pracy, znalazła je. W przedpokoju przywitała ją ruda Kizia-Mizia, ocierając się o nogi i mrucząc.

– Głodna? – spytała kotkę. – Ja też. Nawet nie masz pojęcia jak bardzo. Dziś na obiad pierożki, tak jak w każdy dzień tygodnia.

Martyna otworzyła lodówkę, wyjęła pierogi z zamrażalnika. Kizia-Mizia również zaczęła przepatrywać półki. Jej obiadu jednak nie było. Nawet po długich poszukiwaniach nie znalazł się.

– To niemożliwe. W taką pogodę mam iść do sklepu? – Martyna spojrzała na rudzielca, który miaucząc, wciąż lustrował wnętrze lodówki.

Popatrzyła za okno, na dworze ulewa trwała w pełni. Wrzuciła pierogi na patelnię i zaczęła szukać pilota od telewizora. Znalazła go na półce w przedpokoju. Włączyła MTV, żeby zagłuszyć bębnienie deszczu o szyby. Najchętniej wskoczyłaby w dres i ciepły sweter, usiadła w wygodnym fotelu z herbatą w jednej ręce i pilotem w drugiej. Jednak nic z tego. Z ociąganiem wyszła z domu prosto w słońce. Najpierw wpadła w głęboką kałużę, której jakimś cudem nie zauważyła, i od razu miała mokro w drugiej parze butów. Pierwsza suszyła się w domu, w przedpokoju. Potem pod marketem zaczęła szukać wolnego kosza, kto by pomyślał, że w taką pogodę tyle ludzi może robić zakupy? Była wściekła. Wzięła mały koszyk leżący obok kasy. Od razu skierowała się w stronę stoiska z karmą dla zwierząt. Nie miała nastroju, by położyć sobie, jak to zazwyczaj robiła, kręciło się zbyt dużo ludzi, co chwilę ktoś szturchał ją, przyprawiając o białą gorączkę. Wrzuciła trzy puszki z kocim jedzeniem i na wszelki wypadek żwirek, nie przypominała sobie, czy ma zapas w domu. Wychodziła już ze stoiska, gdy ktoś tym razem nie szturchnął jej, ale najechał koszem. Tego było dla niej już za wiele. Miała przygotowaną wiązkę pięknych słów i nie obchodziło jej, kto to będzie słyszał i co o niej pomyśli. W ostatniej chwili powstrzymała się przed wykrzyczeniem swoich myśli, gdy twarz winowajcy wydała jej się znajoma. . .

– Martyna?

– Adam!

– Cześć, co za spotkanie.

Przez chwilę stali w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć.

Martyna nie mogła uwierzyć, że Adam stoi przed nią, ten sam Adam, może nieco bardziej poważny, męski, wciąż jednak z mnóstwem piegów na twarzy, przydługimi włosami, uwodzicielskim spojrzeniem. . .

– Co porabiasz? – spytał, żeby przerwać niezręczną ciszę.

– W tym momencie, kupuję jedzenie dla kota, bo przed chwilą okazało się, że nie mam nic w lodówce dla rudzielca.

Adam roześmiał się. Hmm, dawno nie widziała tego uśmiechu, ciepły, nieco drwiący, często do niego tęskniła.

– Jak zwykle zapominałaś. A na co dzień co robisz?

– Pracuję, a ty?

Tuż obok niej, jak dla niej zbyt blisko, przejechał kolejny koszyk; zwróciła oczy ku górze, z myślą, że jeszcze jeden i rzuci się na korysy jak wściekły pies i zacznie gryźć małe oponki albo powyrywa parę metalowych prętów.

– To chyba nie jest najlepsze miejsce do rozmowy, ja właśnie skończyłem zakupy, więc może przycupnęlibyśmy gdzieś na kawie?

Nabrała powietrza w płuca i nie wiedziała, co ma odpowiedzieć. W głowie szumiało jej. Miała wrażenie, że się przesłyszała. Niespodziewane spotkanie, miła propozycja. To nie mogła być prawda. Zdawało jej się, że znowu zasnęła przed telewizorem. Zaraz się obudzi i czar prysnie. Jak to możliwe, że spotkała swoją pierwszą miłość, swojego pierwszego chłopaka z podstawówki po tylu latach? Niemożliwe!

– Chyba że nie masz czasu, może czeka na ciebie mąż i dzieci – rzekł szybko, widząc jej wahanie.

– Nie – odrzekła szybko. – Nikt na mnie nie czeka. To znaczy czeka, Kizia-Mizia. Kot. Nie śpieszy mi się. Nie powinna zdechnąć z głodu. Chyba.

– To chodźmy.

Przycupnęli w małej kawiarence tuż obok marketu przy lampce wina na rozgrzewkę. Pomiedzy nimi paliła się mała świeczka, odbijając się w ich oczach, rzucając cienie na ciemny obrus, którego koloru w panującym półmroku nie było widać.

– Musiało minąć dziesięć lat, byśmy się spotkali – zaczął Adam, patrząc wytrwale w jej oczy. – Mimo że mieszkamy w jednym mieście i znowu nie tak daleko od siebie. . .

– Chyba najtrudniej właśnie spotkać się w jednym mieście. Zresztą przez jakiś czas siedziałam we Wrocławiu, studiowałam. Nie było mnie tu, więc nie mogłeś mnie spotkać.

– Skończyłaś studia? – zdziwił się.

– Yhy.

– Nie poznaję cię.

Jego wzrok onieśmielał ją. Niby tak bliski, a jednak czas sprawił, że oddalili się od siebie. Z chwili na chwilę powracała jednak dawna swoboda i nić porozumienia.

– Martyna sprzed dziesięciu lat a Martyna teraz to zupełnie różne osoby. Zaczynam się gubić.

– Która jest lepsza? – spytała zaciekawiona.

– Nie powiedziałem, że któraś jest gorsza czy lepsza. Zawsze mnie fascynowałaś. Teraz zadziwiłaś. Twoja pracowitość i systematyczność przyniosła rezultaty.

– Przestań, mówisz jak moja mama – zaśmiała się. – W podstawówce byłam słabą uczennicą, to fakt. Miałam sporo zaległości z początkowych klas, w technikum już poszło mi lepiej, weszły nowe przedmioty i starałam się nie mieć zaległości. Chociaż nadal nie umiem tabliczki mnożenia i alfabetu; ale jak widać, to wcale nie jest potrzebne do skończenia studiów. A jak sobie mnie wyobrażałeś? – spytała po chwili zaciekawiona, patrząc uważnie w jego oczy.

– Myślałem, że pójdiesz do jakiejś zawodówki i że będziesz pracowała w sklepie. Czasami wypatrywałem cię między ekspedientkami. Gdy wychodziłem ze sklepu, śmiałem się sam z siebie i ze swoich urojeń.

– Czemu od razu ekspedientka?

– Nie wiem, tak jakoś mi pasowało. Jakie studia skończyłaś?

– Ochronę środowiska. Zasługa taty, bardzo mnie namawiał na ten kierunek i miał rację.

– Pewnie twoi rodzice są dumni, że jedynaczka się wybiła. Przestali wreszcie toczyć z tobą boje?

– Za obronienie magistra dostałam wyremontowaną kawalerkę – zaśmiała się. – Zamieszkałam w niej, jak tylko poszłam do pracy; zaczęłam pracować trzy miesiące po obronie. A co do jedynaczki, to nie jestem jedynaczką.

– Jak to nie jesteś? Przecież nie miałaś rodzeństwa – zdziwił się.

– Dziesięć lat temu nie, mój brat ma cztery lata. Jest oczkiem w gło-

wie mamy i taty, całe szczęście. Inaczej ja nie opędziłabym się od nich. Na pewno nie pozwoliliby mi zamieszkać samej, i tak są nadopiekuńczy, ale większość czasu pochłania im Kamil. To mały diabeł wcielony. Daje im nieźle popalić.

– Powinni mieć wnuki, a nie własne dzieci.

– Też mi się tak tłumaczyli, jakbym miała coś przeciwko własnemu bratu. Oni czekali na jakieś trzęsienie ziemi, awantury z mojej strony, a ja się tylko spytałam, na kiedy mama ma termin porodu. A co u twojego brata?

– Od pięciu lat nie ma go w Polsce. Od czasu do czasu pisujemy do siebie listy, ale sporadycznie. Od dwóch lat siedzi w Stanach, ożenił się z Peruwianką. Planuje w przyszłym roku przyjechać do Polski, żeby przedstawić nam swoją żonę, co z tego wyjdzie, nikt nie wie. Zawsze są jakieś przeszkody.

– Nie byliście na ślubie?

– Tak wyszło, że nie, ani ja, ani mama nie mogliśmy pojechać. On również nie mógł nas odwiedzić.

– To szykuje ci się lato pełne wrażeń.

– Może bardziej pełne, niż się może wydawać – rzekł z błakającym się po ustach uśmiechem.

– Już coś planujesz?

– Zaczynam.

– Coś konkretnego?

– Z dnia na dzień coraz bardziej konkretnego – odpowiedział zagadkowo.

– Bardzo tajemniczo to zabrzmiało.

Pod jego ciepłym spojrzeniem rozpyływała się jak czekoladka w ciepłej dłoni, a serce drżało z niepokoju... myśli goniły jak szalone, bez opamiętania mknąc w coraz to bardziej wyimaginowane krainy.

– Nie powiedziałaś mi, co ty robisz, gdzie pracujesz, czym się zajmujesz.

– W przeciwieństwie do ciebie nie chciało mi się uczyć, więc macham łopatą w firmie drogowej. Dorabiam trochę na lewych fuchach. Nic ciekawego – rzekł wymijająco.

– Na naukę nigdy nie jest za późno. Zawsze możesz spróbować i skończyć coś konkretnego.

– To nie dla mnie. Nigdy nie cierpiałem szkoły i tak pozostało. Teraz nie dałbym rady. Jeszcze jeden? – spytał, wskazując puste kieliszki.

– Nie, dziękuję. Mam słabą głowę i Kizia-Mizia czeka w domu.

– Mogę do ciebie zadzwonić? – spytał, spoglądając na zegarek.

– Oczywiście – wzięła z jego ręki długopis i na serwetce zapisała swój numer telefonu, choć i tak nie wierzyła, że zadzwoni.

Adam zapłacił rachunek i wyszli z kawiarenki. O dziwo, nie padało, za to po ciemnych, mokrych ulicach i czarnych zaułkach hulał zimny, przenikliwy wiatr. Zadrżała. Z jednej strony chciała być w domu w wygodnym fotelu z rudzielcem na kolanach, z drugiej – pragnęła jeszcze trochę czasu spędzić z Adamem, w razie gdyby znów mieli spotkać się za dziesięć lat. To nic, że miała mokro w butach, a mróz szczypał ją w nos i odsłonięte uszy, ważne, że Adam znowu się pojawił.

– Wskakuj, podwiozę cię do domu – wskazał na czerwonego golfa.

– Mieszkam tuż za zakrętem.

– To podwiozę cię za zakręt.

– Oszalałeś.

– Yhy, na twoim punkcie, ładnych parę lat temu, powinnaś o tym wiedzieć. Wskakuj.

Pod jej domem byli w kilka sekund. Siedzieli w milczeniu w nagrzanym samochodzie, nie wiedząc, co powiedzieć, i jednocześnie nie chcąc się rozstać. Zza zaparowanych szyb nie było widać ulicy, tylko deszcz dawał znowu o sobie znać, wystukując coraz szybszy rytm o blaszany dach samochodu.

– Lecę – przerwała ciszę Martyna. – Ruda czarownica czeka na obiad, o ile jeszcze nie padła.

– Zadzwonię – powiedział, patrząc jej przeciągle w oczy. – Następnym razem postaram się mieć więcej czasu. Musimy nadrobić zaległości. I muszę poznać tę kotkę.

– Przygotuję ją na to – zaśmiała się. – Do zobaczenia, hej.

– Cześć.

Wysiadła z ciepłego samochodu. Lodowaty wiatr uderzył w nią, przyprawiając o wściekłość. Miała dość tej pogody. Uciekła do bramy. Zanim znalazła klucz od domofonu, rozpadało się na dobre. Gdy zobaczyła swoje odbicie w lustrze w przedpokoju, jęknęła.

– Mam nadzieję, że nie wyglądam tak cały dzień – z włosów ściekała

woda, z rżęs tusz. – Rudzielcu, kiedy ty wreszcie nauczysz się otwierać domofon? Wiesz, ile czasu zaoszczędziłabym na szukaniu kluczy?

Szybko nałożyła Kizi-Mizi mięsa z puszki i zrzuciła z siebie mokre ubrania w łazience, zostawiając je w miejscu, gdzie je zdjęła. Zmyła resztki tuszu. Zajrzała do schowka, w którym leżały dwa worki ze żwirkiem, dołożyła trzeci kupiony w markecie. Tego miała pod dostatkiem. Rozsiadła się w fotelu przed telewizorem. Spojrzała na ławę i wokół niej. Pilota od telewizora nie było. Tym razem znalazła go w kuchni na lodówce. Zaczynał się jej ulubiony serial komediowy.

Gdy obudził ją natrętny dzwonek telefonu, pamiętała tylko napisy początkowe.

– Paskudna pogoda, co? – usłyszała głos mamy w słuchawce. – Mam nadzieję, że rozpogodzi się w końcu. Mam dość tej słoty. Czy ty pamiętasz?

O czym miała pamiętać? Ton mamy zapowiadał kazanie z gradobiciem. Zaczęła przypominać sobie szybko wszystkie daty urodzin, imienin, rocznic i... spojrzenie na kalendarz...

– Oczywiście, mam, że pamiętam, jak mogłabym zapomnieć o urodzinach własnego brata.

– Znowu zapomniałaś.

– Nie zapomniałam.

– Zapomniałaś, jak zwykle, co roku to samo – usłyszała westchnienie mamy.

– Mam, Kamil dopiero jutro ma urodziny, pamiętałam, mam już dla niego prezent. Będę jutro u was, miałam jeszcze dzwonić dzisiaj i spytać, na którą mam przyjść – kłamała jak z nut.

– Przyjdź jutro na siedemnastą. Masz charakter po tacie, on też mnie zawsze mamił, jak tylko chciał. Ja i tak wiem swoje, zapomniałaś, całe szczęście, że ja pamiętam i zadzwoniłam do ciebie. Kamil byłby niepokojony, gdyby cię jutro zabrakło, a nie wiem, jak poczułby się, gdyby okazało się, że jego własna, rodzona siostra po prostu o nim zapomniała. Musisz pamiętać, że on coraz więcej rozumie i niektóre rzeczy będzie już pamiętał do końca życia.

Martyna wzniosła oczy ku górze, uwielbiała mamine kazania. Mamuska była nie do pobicia, rozmowa z nią trwała w nieskończoność, rachunki za telefon nabijała okazałe, Martyna aż bała się pomyśleć, co

by było, gdyby na świecie nie było Kamila, a ona mieszkałaby sama. Miałyby pewnie pięć, a może dziesięć telefonów dziennie.

– Mamo, jestem zmęczona, właśnie miałam kłaść się spać. Miałam ciężki dzień. Muszę odpocząć.

– Ależ ja cię doskonale rozumiem.

– Chyba nie.

– Jak przyjdiesz jutro, to porozmawiamy. Chciałam ci tylko powiedzieć, że syn Ogórkowej, ten najstarszy, w więzieniu siedzi. Ja zawsze wiedziałam, że to kryminalista, ale nikt nie chciał mnie słuchać. I ta biedna dziewczyna. Sprowadził ją na złą drogę.

– Mamo, porozmawiamy jutro.

– Ta Ola ma siedemnaście lat i takie zmarnowane życie. Przez takiego kryminalistę. Jak dobrze, że ty wyrosłaś na dobrą dziewczynę, jeszcze powinnaś znaleźć sobie dobrego męża, żebym nie musiała martwić się o ciebie. Ja czasami nie mogę spać po nocach, jak sobie pomyślę, że taka samiuteńka tam siedzisz, a tyle złych ludzi wszędzie się kręci. Zamykaj dokładnie drzwi na noc i sprawdź je, zanim położysz się spać, czy aby na pewno nie zapomniałaś ich zamknąć. Jesteś tak roztrzępana, że aż się boję o ciebie.

– Mamo, dobranoc. Do jutra.

– Naprawdę się martwię.

– Mamo, pa.

Odłożyła słuchawkę. Sen prysnął. Podrapała rudzielca za uchem. Zdażyła posłać łóżko, gdy znowu rozległ się telefon. Jęknęła. Chcąc nie chcąc, odebrała.

– Wiem, mam nie kupować cytrusów, głupich zabawek bez atestu, czekolady, bo Kamil ma na wszystko uczulenie albo może zrobić sobie krzywdę. O wszystkim pamiętam.

– Ale ja bardzo lubię czekoladę – usłyszała w słuchawce po chwili ciszy.

– Przepraszam, myślałam, że to kolejny telefon mojej mamy. Z kim rozmawiam?

– A z kim byś chciała?

– Adam? – spytała nieśmiało.

– Tak, Adam. Chciałem powiedzieć ci dobranoc.

– Naprawdę przepraszam, moja mama jest nie do zdarcia. Brat ma jutro urodziny, dobrze, że mama zadzwoniła dzień wcześniej. Jak

zwykle zapomniałam, ale mamie nigdy się nie przyznaje, chociaż ona doskonale wie, że co roku zapominam o tym na śmierć.

– Więc jutrzejszy dzień masz zajęty?

– Niestety tak. Na dodatek nie mam prezentu dla Kamila. Chyba będę musiała wyskoczyć w trakcie pracy, o ile będzie to możliwe. Rany, przepraszam, że cię zamęczam swoimi wywodami. Gaduła ze mnie.

– Oj, gaduła – przyznał.

– Przepraszam.

– Nie przeszkadza mi to. Chcę wiedzieć o wszystkim, co dzieje się w twoim życiu. Chłoneń każdą informację o tobie jak gąbka.

Martyna zaśmiała się, szczerze uradowana. Dawno nie słyszała tak miłych słów. Poczuła się znowu... kobietą.

– Ale czarujesz.

– Staram się, jak tylko mogę. Mogę ci jeszcze zaśpiewać kołysankę.

– Bez tego przysypiałam, i to na swoim ulubionym serialu. Mama mnie obudziła telefonem.

– Więc pozostaje mi tylko życzyć kolorowych, mięciutkich i spokojnych snów.

– I żebym rano zbudziła się o odpowiedniej godzinie i nie spóźniła do pracy, jak zwykle to czynię.

– No, trzeba mieć jakieś „ale”, nie można być ideałem.

– Nie jestem ideałem.

– Dla mnie jesteś. Dobranoc, słońce.

– Dobranoc.

Odłożyła słuchawkę i podrapała Kizię-Mizię za uchem. Uśmiech szczęścia nie schodził jej z ust. Wyłączyła telewizor, włączyła wieżę ze swoją ulubioną stacją radiową. Za oknem umilkł wreszcie deszcz. Martyna otworzyła okno, by sprawdzić, co dzieje się za nim. Wiatr również ucichł. Po ciemnych, zimnych ulicach przemykało kilku przechodniów. W mdłym świetle ulicznych latarni świeciły ogromne kałuże, które nocą wyglądały niczym plamy rozlanej smoły. Powietrze było zimne i ostre, przenikające do szpiku kości. Spojrzała w okna w budynku naprzeciwko. Tylko w nielicznych były niezasłonięte okna, ukazując krzątających się ludzi. Jedli rodzinną kolację, szykowali się spać lub kłócili się, mocno gestykulując rękoma.

Wycofała się z okna, szczerze je zamykając, odgradzając się od chłodu i ciemności. Nalała sobie wannę gorącej wody, podkręciła gło-

śniej wieżę i zanurzyła się w kąpieli. Przyglądała się kolanom wystającym z pachnącej jabłkami i żurawiną piany, czubkom swoich piersi, które ledwo było widać spod białego puchu. Zapra gnęła, by dotykał ich Adam. Przymknęła oczy, by przywołać jego błyszczące oczy, namiętnie wyglądające usta, jego piegowatą twarz tuż obok swojej. . .

Gdy się ocknęła, woda była prawie letnia i sięgała jej powyżej ust. Wystraszona i zła na siebie, z mocno bijącym sercem, wyciągnęła szybko korek i wyszła z wanny.

– Stara, a głupia, utopiłabym się we własnej wannie.

Na drżących nogach powędrowała do łóżka. Pościel przywitała ją chłodem. Zgasiła lampkę i wieżę. Pokój wypełnił się szumem deszczu, znowu lało jak z cebra. Gdy zerwał się wiatr, krople zaczęły bić wściekle o szyby, nie dając zasnąć Martynie. Nazajutrz ledwo zdążyła do pracy, ale nie spóźniła się. O dziwo, nie padało. Później wyszło nawet nieśmiało blade słońce, wywołując na wielu twarzach uśmiech i więcej serdeczności w ludziach.

– Nasz ukochany kolega jest w pracy – rzekła Dorota, wchodząc do pokoju i rzucając na biurko stos papierków. – To cud.

– Głupi informatyk?

– Nie, jeszcze głupszy radny.

– Znowu będzie śmierdzieć.

– Już śmierdzi; jak się tylko wejdzie, to czuć, że jest w pracy.

– A co? Chory jest czy na głowę upadł? Co mu się stało? Z reguły to jego teczka jest w pracy, nie on – dziwiła się Martyna. – Przecież dzisiaj nie ma święta brudasów.

– Od czasu do czasu trzeba pokazać się pracownikom, żeby wiedzieli, jak wygląda. Wyciągnął już swoją brudną, miesiąc nie mytą szklankę. Tak się zastanawiam, czy mu nie przykleić jakiegoś gluta, tak żeby od góry szklanki szedł aż do spodka – wyszeptała konspiracyjnie koleżanka. – I żeby ciężko było go umyć.

– Cholera, ale czym to zrobić, żeby było widać i tak szybko się nie zmyło.

– Martyna, przecież on nie myje jej, tylko płucze. Tak samo jak talerz. Widziałas, na jakim talerzu on je? Co byś mu nie przykleiła, to jest szansa, że trochę na tej szklance pobędzie – Dorota udawała, że zwraca.